



PISMO TYGODNIOWE.

Numer pojedynczy . . Mk. **1.50**
 W Małop. i b. okup. austr. K. **2.50**
 Kwartalnie Mk. 15.—
 W Małop. i b. okup. austr. K. 25.—
 Wiersz inseratowy. . Mk. 2.—

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:
 Warszawa, Al. Jerozol. 21, m. 18.
 Telefon 78-86.
 Konto czekowe: 532.

Rękopisów nie zwraca się.

Ku reakcji.

Polska zaczyna wyglądać upiornie.

Na powierzchni jej życia publicznego chodzi mnóstwo nieboszczyków, straszy mnóstwo upiórów. Prawdziwe jej walory chowają się coraz bardziej w głąb życia, stronią na ubocza...

Komuż w tej Polsce dzisiaj dobrze albo bodaj znośnie? Właściwie tylko szlachcie wiejskiej, bogatym chłopom i miejskim lichwiarzom.

Tylko lichwiarze mogą o sobie powiedzieć, że ich czas nadszedł... Może jeszcze to samo powiedzieć chyba wyższy kler i szereg awanturników cywilnych i wojskowych, którzy przed rokiem wycierali przedpokoje okupantów albo oddawali im najbardziej podejrzane usługi, a dzisiaj rozbijają się po Polsce i przepelniają eleganckie pociągi koalicyjne za polskimi paszportami, pośredniczą, chwytają napiwki krociowe, robią jednym słowem „kombinacje“...

Żołnierz, uboższy chłop, robotnik, inteligent klną, jęczą i — czekają. Wszystko co pracuje, co wależy, co przedstawia największą społeczną siłę i wartość, to cierpi i znosi nędzę, a co wyzyskuje, wie-dzie żywot próżniaczy, oszukuje — to ma dostatek, choćby względ-ny, to jest — na wierzchu.

Szósta zima wojenna zaostrza jeszcze te okrucieństwa losu.

To upośledzenie ludu w Polsce jest żerem dla reakcji społecz-nej i politycznej. Bo tylko biedny, wyczerpany, bezbronny lud po-zwoli się tak uciskać, jak szykuje się do tego reakcja polska. Ogól-ny brak — to dopiero właściwe pole dla spekulanta - lichwiarza. Mniejsza o to czy brak ten jest absolutny, czy względny, czy „natural-ny“, czy „sztuczny“, skoro społeczeństwo niczego nie robi, aby bra-kowi zaradzić.

Reakcja jest odwrotną stroną nędzy i wyczer-pania ludu. Czyżby szlachcie ośmielił się kazać policjantom, swoim pacholkom bić, katować, więzić swoją służbę, gdyby spodzie-wać się musiał natychmiastowego odwetu? Czyżby lichwiarz śmiał śrubować ceny, chować towar, znęcać się nad lokatorem, gdyby oczekiwał natychmiastowej obrony ze strony swych ofiar? W społe-czeństwach zdrowszych władza stawia granice takim szaleństwom; u nas władza od góry do dołu jest na usługach tych właśnie szaleństw, jeżeli tylko usłyszy „mocne“ odezwanie się jakiegoś zjazdu „żubrów“, jeżeli tylko przeczyta jakiś beczelny memorjał, protestujący z całą swobodą choćby przeciw podatkom lub opłatom z wojennych zy-sków!...

Rok mija niepodległego życia polskiego, a najczarniejsze myśli oblegają każdy sumienniejszy umysł w kraju. Polska jest tak we-wnętrznie słabą, jak jeszcze nigdy nie była. Nawet w czasie niewoli u obcych. Podkreślamy te straszne słowa, aby nie uledeć złudzeniu, aby nie dać się uwieść hasłu, które rozlega się do-kola, że „jakoś to będzie“, że mamy „liczną armję“ i „trzydzieści mil-jonów ludności“ i „kraj urodzajny“ i „ręce zdolne do pracy“ i t. d. I słabi przytem jesteśmy w życiu wewnętrznym, jak niemowlęta, albo ciężko chorzy ludzie. I stajemy się coraz bardziej słabemi, o ile cho-dzi o organizację pracy, o organizację masy pracują-cej i jej sił fizycznych i moralnych, bo reakcja społeczna nie pozwa-la na zorganizowanie ani chłopu ani robotnika, bo jednemu i drugie-

mu odbiera nadzieje, za które zapłacił krwią swoją, nadzieje na nowy ład w Polsce, korzystny dla nich obu.

Co może być następstwem tego stanu wyczerpania mas? Dwie zmiany są możliwe; albo powolne zamieranie energii ludowej, zamieranie, które obserwowaliśmy w Polsce przedrozbiorowej, albo gwałtowny wybuch rozpacz. Rozpatrując obie te perspektywy, należałoby ze stanowiska patrioty polskiego widzieć w pierwszej większe nieszczęście, niż w drugiej. Na pierwszej drodze czeka nas śmierć pewna; śmierć może za lat kilka lub kilkadziesiąt... Na drugiej możebną jest jeszcze szansa otrząśnięcia się i wyrwania z dzisiejszego bezwładu zła!... Stąd to najspokojniejsi ludzie prywatni wdychają do „latarni“, stąd całe partie kokietują „gwałtowny akt odwetu“ i t. d. Reakcja zaś panosząca się jak wrzód ogromny na naszym ciele, ma tą szczerłość, że nikomu z ludu nie obiecuje ani porządku, ani ładu, ani lepszego powodzenia, tylko grozi i jeszcze raz grozi wszystkim, którzyby chcieli zrobić cokolwiek bez niej lub przeciw niej...

I te groźby, zresztą śmieszne — wystarczają. Grozi garść szlachty i rząd słucha, grożą paskarze i rząd się akomoduje, grozi kilku biskupów i skutek pewny. Doszło do tego, iż jak śmieszna ironja brzmią słowa, że naczelnik tego państwa był do niedawna twórcą i wodzem Polskiej Partji Socjalistycznej, że siedział w więzieniach za sprawę robotnika i chłopu polskiego, że minister spraw wewnętrznych towarzyszył mu długi czas na tej drodze walki — — „klasowej“...

Dziś brzmi to jak — osobista obraza. Jest to skutek spotęgowania się reakcji najordynarniejszej, reakcji prowokującej swoją duchowością azjatycką, wzorowaną na czynowniczej potędze rosyjskiej lub pruskiej, reakcji godnej XVIII wieku, tylko, że jest ona na służbie potęg, wysysającej siły milionów polskiego ludu. Bo i to trzeba podnieść, że reakcja nasza — sama stanowiąca zero — jest wykonawczynią zleceń reakcji zachodnio - europejskiej, że ciągnie rydwan zwycięskiego kapitału wojennego na równi z innymi niewolnikami, a zato „rządzi“ w Polsce... Od chwili, kiedy Dmowski oczerniał Rząd robotniczy i chłopski przed Europą, jako bolszewizm i chaos, aby Polsce odciąć żywność i broń, aż do dzisiaj, kiedy Polska „wspomagana“ przez koalicję musi za to prowadzić wojnę, jeden z

ten sam schemat jej niedoli, nędzy i wyczerpania. Jesteśmy w niewoli przy wszelkich pozorach niepodległości; jesteśmy rządzeni, jak dawni „poddani“, przy wszelkich pozorach republikańskiej demokracji.

Idziemy ku ciężkiej przyszłości.



Stan bezrobocia w Polsce.

Chcąc przedstawić stan bezrobocia, na podstawie materiału liczbowego, zauważyć musimy, że dokładne wyobrażenie o rozmiarach klęski bezrobocia dałoby mogło zestawienie liczby bezrobotnych z liczbą ogólną ludności, następnie z liczbą zarobkujących, wobec jednakże stanu statystyki w b. Królestwie Polskiem, wobec braku danych co do stanu ludności i jej zawodowego i społecznego ugrupowania, zadanie to staje się niemożliwe. Ograniczamy się przeto do podania samych liczb zarejestrowanych bezrobotnych oraz uprawnionych do pobierania zapomóg. *)

Liczba bezrobotnych i pobierających zapomogi według miesięcy.

Pozostawało bez pracy:		Pobierało zapomogi:	
W dniu 1 lutego	203848	149767 — czyli	73.5%
„ 1 marca	239831	177639	„ 74.5%
„ 1 kwietnia	335148	257613	„ 76.9%
„ 1 maja	347999	247893	„ 71.2%
„ 1 czerwca	354222	259509	„ 73.8%
„ 1 lipca	318329	235535	„ 74.1%
„ 1 sierpnia	281050	202154	„ 63.6%
„ 1 września	287430	169079	„ 58.8%
„ 1 października	263150	152326	„ 57.8%

Punkt kulminacyjny bezrobocia przypada na miesiąc maj, wskutek czego na 1 czerwca notują Urzędy Pracy 354222 pozo-

*) Cyfry zestawione zostały na podstawie danych Państwowych Urzędów Pośrednictwa Pracy.

stających bez pracy. Na okres ten przypada też największa liczba pobierających zapomogi a mianowicie 259509 osób. Pobierający zapomogi są to głowy rodziny i osoby żyjące bez rodziny; korzystających z zapomóg jest więc znacznie więcej, jeśli doliczymy przeciętnie dwoje dzieci na rodzinę.

**Liczba bezrobotnych i pobierających zapomogi
w poszczególnych ważniejszych ośrodkach
bezrobocia.**

Miejscowość	Na 1 Intego	Na 1 marca	Na 1 kwiet.	Na 1 maja	Na 1 czerw.	Na 1 lipca	Na 1 sierp.	Na 1 wrześ.	Na 1 paźdz.
	Bezrobotnych	Pobier. zapom.	Bezrobotnych	Pobier. zapom.	Bezrobotnych	Pobier. zapom.	Bezrobotnych	Pobier. zapom.	Bezrobotnych
Warszawa	74418	58672	80131	62893	88977	72312	81089	66093	72398
Łódź	71005	56812	73073	57377	72156	57111	82511	68432	80105
Częstochowa	17040	8751	17646	11060	13615	9109	13674	9253	13871
Żyrardów	10106	8473	11835	9093	12094	967	11298	9360	12787
Zagłębie	12042	7318	1672	8170	11658	8814	1125	8723	9741
Okr. Zawiercie	5287	2932	6483	3910	10163	7253	10763	7320	11624
Tomaszów Maz.	8378	6833	8914	8123	9248	7635	10186	8304	11083
	8378	6833	8914	8123	9248	7635	10186	8304	11083
	8959	9805	8578	8569	7207	8062	6681	7959	2747

Fakt, że wielkie ośrodki życia przemysłowego, jak Warszawa, Łódź, Częstochowa, Zagłębie i Zawiercie dostarczają największej liczby bezrobotnych, świadczy o znacznej zależności liczby bezrobotnych od stopnia uprzemysłowienia danej okolicy.

Jak wspominaliśmy na wstępie, udzielanie pomocy powierzono Wydziałowi Niesienia Pomocy Bezrobotnym, wysyłającym

swych delegatów, którzy czuwać mają nad prawidłowem zużyciem funduszy. Oni też odpowiadają za akcję komitetów lokalnych w podległym im okręgu. W skład komitetów wchodzi przedstawiciele Ministerjum Pracy, miejscowych władz administracyjnych, instytucji społecznych, rady miejskiej organizacji przedsiębiorców i organizacji robotniczych. Robotników reprezentują naogół związki zawodowe, rzadziej rady robotnicze; w Warszawie, Łodzi i Zagłębiu te ostatnie odmówiły udziału w komitecie.

Pod względem finansowym przedstawiają się rozmiary akcji pomocy dla bezrobotnych jak następuje:

Kwoty zapomogowe wypłacane według miesięcy:

W ciągu lutego	12.241069	marek
„ marca	14.526132	„
„ kwietnia	21.071295	„
„ maja	20.280374	„
„ czerwca	21.210897	„
„ lipca	19.256086	„
„ sierpnia	16.511160	„
„ września	8.500000	„
Preliminowano na październik	18.000.000	„

Ogółem 151.597013 marek

Kwoty zapomogowe rozdzielają się na poszczególne większe miejscowości w sposób następujący:

Miesiąc	Warszawa	Łódź	Zagłębie	Zawiercie
Luty	4762606 mk.	4981480	615986	—
Marzec	5100716 „	5032018	687891	411554
Kwiecień	5865619 „	5007301	743083	664049
Maj	5360588 „	6025277	734178	670357
Czerwiec	5049496 „	6853434	679181	804561
Lipiec	4109785 „	5815529	773177	694853
Sierpień	3693431 „	5644355	836304	682546
Wrzesień	3000000 „	4000000	1000000	500000
Październik	6000000 „	8000000	3000000	1000000

Na opadanie fali bezrobocia od czerwca do końca sierpnia wpłynęły w pewnej mierze roboty publiczne, częściowo także uruchamianie przemysłu, wreszcie zatrudnienie na roli w miesiącach letnich i przy kopaniu kartofli.

Roboty publiczne zainicjowane przez rząd w styczniu 1919 r. prowadzone były z początku przez samorządy, którym rząd udzielał w tym celu pożyczek; w miarę rozszerzenia zakresu pracy na robotach publicznych przez Ministerstwo Robót Publicznych, wzrastała także liczba zatrudnionych na tych robotach robotników.

Liczba robotników na robotach publicznych wynosiła:

W dniu 1 kwietnia	9345	W dniu 1 lipca	92952
„ 1 maja	21886	„ 1 sierpnia	69662
„ 1 czerwca	71735	„ 1 września	65839
		„ 1 paźdz.	64427

Liczba zatrudnionych na robotach publicznych robotników w ważniejszych miejscowościach:

	Warszawa	Łódź	Częstochowa	Płock	Wrocław	Pultusk
W dniu 1 kwietnia	4490	775	2295	—	1775	—
„ 1 maja	9935	775	3219	3707	1698	658
„ 1 czerwca	29360	5180	4818	3712	1854	1730
„ 1 lipca	42211	11565	6507	5076	1961	2055
„ 1 sierpnia	24630	13041	1254	6042	3568	288
„ 1 września	13450	13337	1254	6394	3608	401
„ 1 paźdz.	12750	4765	1086	3923	3689	656

Liczba zatrudnionych na robotach publicznych robotników ulega zmianie w ciągu lipca i sierpnia na skutek redukcji zatrudnionych przedtem robotników, przy jednoczesnem przyjmowaniu nowych, a mianowicie:

Wydalono z robót:

Przyjęto na roboty:

W okręgu	W lipcu	Sierpniu	Wrześniu	W lipcu	Sierpniu	Wrześniu
Warszawskim	17581	9842	417	792	2891	255
Piotrk.-Radom.	5511	1210	793	423	58	—
Zagłębiowski	5253	5	—	334	301	12
Łódzkim	601	9771	292	4735	1462	451
Kaliskim	1342	1675	1194	1031	1724	543
W innych	2322	1283	297	2005	13527	314
Ogółem	32610	23786	2993	9320	19963	1581

Po tej redukcji pozostaje na robotach publicznych w dniu 1 października 64427 robotników z zatrudnionych w dniu 1 lipca 92952.

Uruchamianie przemysłu, w tempie nader powolnym prowadzone, nie mogło wiele odciążyć rynku pracy. W przemyśle włókienniczym uruchomiono kilka zaledwie fabryk w Łodzi, w których znalazło zatrudnienie około 10 tysięcy robotników. W mniejszych miastach uruchomiono drobne warsztaty, w których znalazło zajęcie 1500 do 2000 robotników. W przemyśle metalowym uruchomiono zaledwie jeden wielki piec w hucie „Raków” pod Częstochową, dający pracę 200 robotnikom. Uruchomiono następnie kilka cegielni, zatrudniających około 1000 do 1500 robotników. W Żyrardowie znalazło pracę zaledwie 2,000 robotników na 16 tysięcy zatrudnionych przed wojną. W górnictwie było zatrudnionych do 1 lipca b. r. 31400 robotników, z powodu braku węgla wstrzymane zostały w niektórych miejscowościach czynne przedtem zakłady przemysłowe.

Rolnictwo tylko w kilku rolniczych okręgach (Łomżyńskie, Lubelskie i Kieleckie) i to w nieznacznej mierze wpłynąć mogło na zmniejszenie się bezrobocia w kraju.

Biorąc pod uwagę wolne tempo uruchomienia przemysłu, w związku z oczekiwanym napływem nowych bezrobotnych z Rosji, w miarę stopniowego udostępniania dla działalności rządowej terenów kresowych, w związku z powrotem robotników z Niemiec i to przy zbliżającej się porze zimowej, dającej mniej sposobności do pracy, należy oczekiwać w najbliższej przyszłości zwiększania się liczby bezrobotnych, zmuszonych do korzystania z pomocy państwowej. O rozmiarach i potrzebach akcji pomocy dla bezrobotnych w najbliższej przyszłości mówić trudno, już teraz wszakże wskazać należy na konieczność rozszerzenia planu robót publicznych w kierunku większych inwestycji, mogących być punktem wyjścia dla dalszego rozwoju życia gospodarczego. Na prace tego rodzaju więcej, aniżeli na odpływ bezrobotnych z kraju nacisk położyć należy. Pewnym odciążeniem na rynku pracy może stać się będąca w przygotowaniu organizacja wychodźstwa zarobkowego do Francji, wobec jednak tego, że akcja ta rozłożona będzie na dłuższy przeciąg czasu i że obejmie przedewszystkiem robotników niewykwalifikowanych i rolnych, niewiele będzie mogła zaważyć na szali. Dopiero rozwój przemysłu, na bogactwie naturalnem kraju oparty i z niego siły żywotne czerpiący, może stać się skutecznym orężem w walce z klęską bezrobocia, którego całkowite usunięcie możliwem będzie dopiero z usunięciem ustroju kapitalistycznego. Do tego czasu o zaniechaniu lub nawet o zmniejszeniu roz-

miarów akcji pomocy doraźnej dla pozbawionych pracy, nie może być mowy.

Pomoc doraźna dotychczasowa, jakkolwiek daleka od osiągnięcia celów zamierzonych, wykazała doniosłość akcji tej w życiu społecznem i ekonomicznem państwa.

Dr. M. B.

Listy włoskie.

Włochy są obecnie w okresie przedwyborczym. Dekret królewski zwołuje okręgi wyborcze na 16 listopada, zaś senat i parlament na 1 grudnia r. b.

Podczas ostatniego posiedzenia Parlament był widownią zajęć burzliwych, które doszły do punktu kulminacyjnego podczas głosowania.

Członkowie grupy „Fascio“ (nacjonałisci) domagali się gwałtownie dyskusji traktatów pokojowych przed głosowaniem votum ufności.

Finał: Walka na pięści.

Wzburzenie charakteryzuje naogół nastrój całego kraju.

Z jednej strony „Rastignac“ jeden z najgłośniejszych publicystów włoskich, pisze w rzymskiej Trybunie, organie wielkiego przemysłu, że ze sprawozdania ministra Tittoniego w parlamencie można wyciągnąć dwie nauki: jedną o charakterze historycznym, że wojna dała Włochom tylko to, co wzięły siły zbrojne; drugą o charakterze moralnym, że Włosi powinni raz przecie przekonać się, że mogą polegać jedynie na samych sobie.

Niezadowolenie z pewnego fiasca, rzec można, dyplomacji włoskiej jest wśród pewnych sfer dosyć silne. Przechodzi ono w wyraźną opozycję do obecnego gabinetu.

Z drugiej znów strony w kraju coraz bardziej wzrastają wybuchy gwałtownych zatargów klasowych i partyjnych, co nawet bez ogródek stwierdził minister Tittoni na początku swego historycznego exposé.

Włochy przechodzą obecnie poważny kryzys.

Nie da się zaprzeczyć, że polityka włoska poniosła klęskę.

Wyniki wojny nie stworzyły warunków, tuszujących niezadowolenie. A to niezadowolenie zatacza tem szersze kręgi, że sytuacja gospodarcza jest bardzo ciężka.

Wśród warstw proletariatu i w samej partji zachodzą coraz głębsze przemiany ideologiczne.

Nie tylko więc ze względów na sytuację w zakresie polityki zagranicznej, ale właśnie z powodu tego ideowego wrzenia, został przyspieszony termin zjazdu partji socjalistycznej.

W Bolonii 6 października rozpoczęły się obrady zjazdu oficjalnej włoskiej partji socjalistycznej. (Congresso nazionale del Partito Socialiste ufficiale italiano).

Podczas inauguracji kongresu p. Silvia Pankhurs złożyła życzenia w imieniu komunistów angielskich, oświadczając, że proletariąt angielski, łącznie z włoskim, stoi na straży wielkiej rewolucji rosyjskiej. Gdy zaś jeszcze oświadczyła, że komuniści angielscy rozwijają akcję antiparlamentarną, otrzymała żywe od licznej grupy oklaski.

Charakterystycznym było także, gdy Giovanni Bacci, występując od dyrekcji partji, zaprotestował przeciwko cenzurze i bezpośrednio potem odczytał list, nadesłany przez rosyjskich bolszewików.

List ten, wskazujący na powszechną kontrrewolucję, kończył się słowami: „Niech żyje proletariąt włoski! Niech żyje trzecia Międzynarodówka! Niech żyje wszechświatowa republika sowietów!

Za Komitet centralny rosyjskiej partji komunistycznej:

Mikołaj Bucharin“.

Gdy Giovanni Bacci przestał czytać, rozległy się oklaski i ożywione okrzyki: **Niech żyje rewolucja rosyjska! Niech żyje Lenin!**

Serrati, kierownik „Avanti“, protestował przeciwko pogromom w Polsce i na Ukrainie *).

Ponieważ wybory są aktualne, więc dyskusja, siłą rzeczy, skoncentrowała się nad stosunkiem partji do akcji wyborczej, z czego wyłoniła się wogóle kwestja stosunku do parlamentaryzmu, a łącznie z tem tendencja do rewizji programu partyjnego z 1892 roku.

Naturalnie, że stosunek do komunizmu był też punktem dyskusji i to jednym z najważniejszych.

Kongres boloński ma znaczenie nie tylko dla włoskiej partji socjalistycznej, ale i wogóle dla socjalizmu.

Starły się na nim trzy kierunki: 1) frakcja Turati'ego, 2) frakcja Serrati'ego, 3) frakcja Bordiga.

*) Uchwalono również jego rezolucję, w której jest powiedziane między innemi, że na Ukrainie, w Polsce, we wszystkich krajach północnych, gdzie trwa jeszcze wojna, prześladowane są mężczyźni, kobiety i dzieci żydowskie, które strasznie są zwłaszcza gnębieni przez żołdactwo kontrrewolucji Dnikina, Petlury i Kołczaka, będących na żołdzie demokracji Zachodu.

Turati jest wierny programowi partji z 1892 r. Reprezentuje skrajną prawicę stronnictwa, t. zw. maksymalizm jednoczący (*massimalismo unitaria*), do którego należy większość grupy parlamentarnej z posłami: Turati, Treves, Maffi, Modigliani, Graziadei.

Gdy Turati zjawił się na mównicy, z grupy komunistów rozległy się okrzyki: Niech żyje Lenin! Niech żyją bolszewicy!

Przemówienie Turatiego, w którym obstawał za programem 1892 r. i akcją parlamentarną, niejednokrotnie przerywano okrzykami: Precz z kompanem Nitti'ego! Niech żyją sowiety!

Zresztą o wpływach komunizmu we Włoszech świadczy, że nawet sędziwy i poważny Lazzari, sekretarz partji, reprezentujący centrum stronnictwa, które przystąpiło do prawego skrzydła Turati'ego, podczas swego przemówienia rzekł: Io dico: Viva il Comunismo... (Wołam: Niech żyje komunizm...).

Turati również uznaje trzecią Międzynarodówkę, jak i doniosłość bolszewizmu rosyjskiego, jest zwolennikiem akcji bezpośredniej, a nawet rewolucji, jednak, uważając, że proletariąt włoski jest nieprzygotowany do objęcia rządów i do dyktatury, dąży do tego, aby na drodze parlamentarnej przygotować i zrewolucjonizować masy, a także zmusić burżuazję do jakichś stanowczych na rzecz proletariatu ustępstw.

Usłyszał też od prof. Maierotti: „Turati è un galantuomo...”

A jednak, jak charakterystycznymi są niektóre wypowiedzenie Turatiego, reprezentującego prawe skrzydło partji: przeciwko komu walczył Lenin, jak nie przeciwko Wersalowi?... No, ten, kto twierdzi, że nie uznaje wartości rewolucji rosyjskiej, jest chyba idjotą...

Frakcja Serrati'ego, zwana także maksymalizmem wyborczym (*massimalismo elezionista*), przyjmuje platformę rosyjskiego bolszewizmu, godzi się zaś na akcję wyborczą tylko dlatego, aby za jej pomocą zaagitować masy oraz przygotować rewolucję społeczną. Przez tą zgodę na akcję wyborczą frakcja Serrati'ego różni się od grupy Bordiga i prof. Leone, zwanej *massimalismo astensionista*, t. j. wstrzymującej się od wyborów. Grupa ta żąda bezzwłocznej dyktatury proletariatu i zaprowadzenia sowietów.

Aczkolwiek do frakcji Turati'ego przystąpiło centrum z weteranem włoskiego ruchu i sekretarzem partji Lazzari'm na czele, co Giuseppe Bevilacqua nazwał nawet w *Il Tempo* (3 paźdz.) sojuszem historycznym (*un blocco storico*), zwyciężył kierunek, reprezentowany przez Serrati'ego, którego rezolucja otrzymała 49.411 głosów, czyli 12.000 sekcji. (Na kongresie było reprezentowanych 1.378 sekcji z 62.187 członkami).

Rezolucja Lazzari'ego (grupa Turati'ego) otrzymała 14.880 głosów (335 sekcji), zaś Bordiga 3.417 głosów (67 sekcji).

Wypowiedziano się za tem, by w zakresie taktyki partyjnej przejmować władzę polityczną oraz dążyć do uspołecznienia środków produkcji i tworzenia rad robotniczych i gospodarczych, które w okresie rządów burżuazji byłyby organami walki oswobodzicielskiej i czynnikami społecznie i gospodarczo przekształcającymi w myśl nowych zasad komunistycznych. Trzecią Międzynarodówkę uznano za organ proletariatu całego świata. Rezolucję Serrati'ego kończył okrzyk: Precz z reakcją międzynarodową!

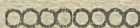
Rezolucje kongresu bolońskiego są faktem, z którym się należy nie tylko liczyć, ale nad którym się należy poważnie zastanowić. Socjalistyczna partja włoska stanęła zdecydowanie po stronie bolszewizmu rosyjskiego. Partja zaś ta odgrywa w życiu Włoch poważną rolę. Włoska powszechna konfederacja pracy (Confederazione Generale del Lavoro), licząca przeszło milion zsyndikalizowanych członków, wyraziła swe przystąpienie do uchwał kongresu, składka zaś na „Avanti“, organ reprezentujący kierunek ideowy Serrati'ego, dała w bieżącym roku przeszło milion lirów!

Socjalistyczna partja włoska jest więc liczebnie siłą bardzo poważną. Pod względem ideowym, teoretycznym, socjalizm włoski wywierał również wpływ znaczny. Tak zdecydowane opowiedzenie się za bolszewizmem rosyjskim i jednocześnie zastosowanie odpowiedniej taktyki w życiu partyjno-politycznym, oczywiście bez skutków nie pozostanie. Naturalnie wywrze to wpływ i na partję francuską, która jest obecnie w okresie przedwyborczym.

A propos: ponieważ socjalizm we Włoszech cieszy się uznaniem, socjalistami są tu bardzo wybitni ludzie na polu nauki, sztuki, literatury, polityki, życia publicznego etc. etc. Nic więc dziwnego, że nawet w pismach arystokracji, jak medjolańska *Perseveranza* lub w klerykalnej *L'Avenire d'Italia* znaleźć można artykuły, w których są narzekania na to, że kolonja włoska w Warszawie jest zanadto zmonopolizowana przez arystokrację i plutokrację, wskutek czego Włochom mniej jest znana ta Polska, która — myśli i pracuje. Należałoby to wziąć pod uwagę.

Medjolan, w październiku 1919 r.

A. L.



Z drogi!

II.

Klasy posiadające uważają, że jak na schyłku XVIII wieku, tak i na początku XX w Polsce muszą rządzić one, że nie nie powinno ulec zmianie. Polska, jak była szlachecką, tak nią i powinna pozostać. Najwyżej może dopuścić do swego grona bogatego fabrykanta i kupca.

To zapatrywanie się klas posiadających na Polskę, jak na swój folwark, znalazło jaskrawy wyraz w stosunku do rządu Daszyńskiego w Lublinie i rządu Moraczewskiego w Warszawie.

Dziś jeszcze zgrzyta zębami reakcja na wspomnienie tych chwil. Rząd Daszyńskiego w Lublinie wciąż jeszcze tytułuje się uzurpatorskim, zamachem stanu i t. d.

A tymczasem, jak było w rzeczywistości?

Oto na ziemi polskiej, która stała się wolną od najeźdźcy powstał natychmiast rząd ludowy, który proklamował Republikę Polską, wypowiedział walkę Niemcom o zjednoczenie wszystkich ziem polskich.

Zdawałoby się, to wszystko winno być im policzone za zasługę — o to wobec świata całego rząd ten świadczył, że tam, gdzie ziemia polska wyzwala się z pod obcego jarzma, tam natychmiast naród polski mówi głośno o swych prawach niepodległego bytu.

A że w imieniu Polski przemówił Lud i jego polityczni przedstawiciele — cóż w tym dziwnego? Któż z większym prawem mógł na wolnej ziemi polskiej proklamować Niepodległość i Zjednoczenie ziem polskich, jak nie Józef Piłsudski, o którym myśl przyświecała tym, co w Lublinie się zebrali, jak nie Daszyński, Moraczewski, Arciszewski, Malinowski, Sieroszewski?

Był zamachem stanu przeciwko Radzie Regencyjnej. Tak jest, bo Rząd Ludowy w Lublinie powstał pod znakiem walki z Niemcami, których jeno ślepym narzędziem była Rada Regencyjna.

Zapewne zbyt rażący był kontrast między Rządem Ludowym w Lublinie, obalającym Radę Regencyjną, — a rządem Świeżyńskiego, który jak ta nieśmiertelna wdowa Gogola publicznie w pokorze tarzał się u stóp Rady Regencyjnej i sam siebie siekł.

Przyszedł rząd Moraczewskiego. I został obalony. A tymczasem czym do dziś Polska żyje, jak nie wykonywaniem tego planu, który przed nią postawiły Rządy Ludowe w Lublinie i Warszawie?

Cóż innego robi rząd „fachowy“ Paderewskiego, jak tylko nie to, że w nieudolny, powolny sposób realizuje prawa i ustawy nadane przez rządy Daszyńskiego i Moraczewskiego?

Równouprawnienie polityczne kobiet, najdemokratyczniejsza ordynacja wyborcza do Sejmu, statuty ciał samorządowych, miejskich, powiatowych i gminnych, 8-godzinny czas pracy, dekrety o Inspekcji Pracy, o kasach chorych, o chronie lokatorów, walce z lichwą i spekulacją — wreszcie reforma rolna, wywłaszczenie wszelkiej własności ziemskiej, upaństwowienie lasów i t. d. — to wszystko to, co Rząd Ludowy w Lublinie postawił przed Polską, jako program prac — wszystko to, co rząd Moraczewskiego wykonał lub przygotował.

A jeśli tak, to po co orgia oszczerstw i sabotażu, która wówczas się rozpętała? Widzimy, że Polska do dziś żyje ideowym dorobkiem rządów Daszyńskiego i Moraczewskiego, że idzie temi drogami, które jej te rządy wytknęły.

Płyń wszystko stąd, że zbyt bezceremonjalnie usunęliśmy od władzy i wpływów nasze klasy posiadające.

Sądziłyśmy, że tam, gdzie lud tylko o Niepodległość walczył — tam on tylko będzie władzę sprawował. Sądziłyśmy, że i w Polsce w ciągu XIX stulecia wymarła klasa feodałów.

Omyliliśmy się. Upiory XVIII stulecia jeszcze żyją w Polsce.

Jak w XVIII wieku, tak i w XX obszarnik chce być wyłącznym panem Rzeczypospolitej Polskiej.

Obalono Rządy Ludowe, bo nie miały w swym ręku pieniędzy — tak się mówi powszechnie.

Nietylko dlatego. Dlatego również, że daliśmy się zakrzyczeć i steroryzować. Obszarnik, fabrykant i bankier polski bowiem, jak za rządów Moraczewskiego nie dawali pieniędzy, tak nie dają i dziś. Ulegliśmy pod presją wrzasków i krzyków tej klasy, która siedzi na swych kasach ogniotrwałych i wrzeszczy: „Polska to ja! Tylko sobie dam pieniędzy“! — lub która dziś profanuje Rotę Konopnickiej, śpiewając na swych zjazdach obszarniczych:

„Nie weźmie brat, co nie wziął wróg

Tak nam dopomóż Bóg...

Nie będzie tłuszczu płuć nam w twarz...

Ta dziec moralna, to skarłowaciałe, zdegenerowane plemię sobków — faktycznie rządzi Polską.

To mafia, która nie mogąc cofnąć koła historii wstecz i budować Polskę szlachecką i reakcyjną, z powodzeniem przeszkadza budować Polskę Ludową.

Garść obszarników nie chce oddać ziemi, potrzebnej dla bytu państwa polskiego, garść fabrykantów, nie chce uruchomić fabryk, póki robotnik nie ukorzy się i nie weźmie na siebie jarzma fabrykanckiego wyzysku, garść bankierów i kapitalistów nie chce dać Polsce pieniędzy, bo niema jeszcze pewności, czy to „pewna firma“ na giełdzie międzynarodowej.

I ta garść wyzutych z patriotyzmu ludzi, tamuje dziś rozwój dwudziestomilionowego narodu, spycha go w otchłań nędzy i anar-

chji. Albo oni będą rządzić Polską — albo niech wcale tej Polski nie będzie, bo pod knutem carskim i pod butem pruskim nikt z nich bogactwa nie targał się, nikt od nich nie wymagał poświęceń.

Dziś moralizatorem opinii publicznej jest pospolity denuncjant i oszczerca. Dziś w Sejmie poucza rząd, jak ma rządzić, ten poseł, który jeszcze kilka lat temu głosił, że Niepodległość to wymysł żydowski i opluwał pamięć powstań 1831, 1863 roku.

Dziś Związek Ziemian wyklucza ze swego grona b. ministra Jamnickiego, który na swym urzędzie ośmielił się dbać o interesy Polski, nie zaś jednej kasty szlacheckiej.

Oto widzimy, jak ci, którzy do Niepodległości Polski nawet jednym ruchem palca się nie przyczynili, którzy odwrotnie wszystkimi siłami utrudniali walkę o Niepodległość, — dziś, w imię swego klasowego interesu gotowi znowu zepchnąć kraj w przepaść niebytu politycznego. Ci, którzy o Niepodległość walczyli, którym drogą i świętą jest krew i męka tych, co za nią zginęli, ci, którzy Polskę kochają, którzy pragną jej wielkości i sławy, muszą się skupić pod hasłem walki o Polskę Ludową.

Dziś widzimy bowiem wszyscy, że nie dość wywalczyć byle jaką Niepodległość, że trzeba walczyć o Polskę Ludową, bo tylko wówczas możemy mieć pewność, że Polska ostoi się, gdy oprze się o Lud Polski, gdy będzie dla niego Matką Troskliwą, nie zaś Macochą obojętną i niedobłą. Spójrzmy, jak Lud Polski jest umęczony — a jednak jaką wykazuje olbrzymią cierpliwość w imię dobra Polski.

Ale nie nadużywajmy tej cierpliwości!

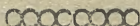
Lud walczył o Niepodległość i dziś on, a nikt inny musi budować gmach swej Niepodległości — tak, aby mu w tym gmachu było jasno, ciepło i swobodnie.

Lud polski musi znowu ująć władze w swe ręce — ale już na stałe.

A ci, którzy chcą być przywódcami i doradcami Ludu muszą tę zgrałę sobków i karłów duchowych złośliwie ciskających pod nogi Polskę Ludową kamienie, bezwzględnie usunąć, bo jeśli dziś tego nie uczynią, to być może jutro trzeba będzie walczyć o Polskę Ludową przy pomocy wojny domowej, wraz z jej klęskami i szkodami... Trzeba usunąć z drogi Ludu Polskiego wszystkie przeszkody, aby wreszcie on umęczony, sterany mógł spokojnie kroczyć ku słonecznej krainie, której na imię — „wolny człowiek w wolnej Polsce“.

A więc — z drogi!

Tadeusz Hołowko.



Zygmunt Kisielewski.

Siostra Maria.

(Pierwszą część opowieści tej drukował przed trzema laty „Głos” warszawski. Drugą część pisałem we wrześniu i październiku b. r. Dla zrozumienia pewnych subtelności podaję szkice części pierwszej:

Zdzisław Święcki, podporucznik armii austriackiej, w pierwszych miesiącach wojny ranny w głowę — utracił wzrok. Bezprzytomny leży w szpitalu. Odzyskawszy przytomność odnajduje się w czarnej, przerażającej go, sztańskieję czeluści. Wkrótce przekonywa się, że to ślepotą. Ślepotą szczególną, bowiem organ wzroku naruszony nie jest. Czuje się kaleką bezradnym. Lecz siostra Maria, przydzielona doń w szpitalu, stara się z delikatną słodyczą czynić wszystko, aby mękę nieszczęsnego uśmierzyć.

Zwolna staje się dla kaleki „wszystkiem”. Gdyby nie Marji mądrość miłosierna, ślepiec odebrałby sobie może życie... Przywiązuje się do niej i rozpaczą nieszczęścia, z wdzięcznością człowieka na zawsze bezradnego, z namiętałością młodości. Oświadcza to jej. Marja wyznaje wtedy, że jest starą panną i brzydką: „Jestem od pana starsza o dziewięć lat. Oprócz tego jestem oszpecona ospą. Mam całą twarz podziurawioną ospą czerwonymi dotami (po ospie). Jestem taka brzydka, że każdy mężczyzna, gdy sporzy na mnie, odwraca się z radością”. Odmawiała. Święcki dopiero po długim rozmyśle pojął skrupuły siostry. Porwał się na kolana i składa ślubowanie: „Gdybym kiedyś wzrok odzyskał a ciebie, siostró Marjo, miał skrzywdzić, przedtem, zanimby to się stało, sam własną ręką wylupię sobie oczy. Tak mi Boże dopomóż!”

Długo trwało zanim siostra uległa namowom ślepcy i własnej miłości. Święcki zdrow, tylko ślepy, opuszcza szpital i bierze ślub z Marją. Żyją szczęśliwie. Tylko straszne, tajemnicze bóle w tyle głowy, dręczące Święckiego, ponawiają się jeszcze od czasu do czasu. Noe „niby zagłada wisząca nad duszą” otacza go wówczas dokoła. Jenó miłość Marji ratuje wtedy od pokusy śmierci.

Ale gdy przyszedł na świat synek, ginie gdzieś zmora. Święcki pogodził się już z losem. „Synek obejrzy świat i słońce i wszystkie barwy i światła za mnie i będzie mi opowiadał o świecie jasnym” — mówi do Marji, stojąc nad kołyską nowonarodzonego).

Po przyjeździe na świat dziecka, życie Święckich stało się znacznie trudniejsze. Marja, zaledwie wróciwszy do zdrowia, musiała iść do biura.

Święcki wspólnie z wynajętą dziewczyną pielegnował wtedy syna. Zajęcia te dawały mu jednak dużo szczęścia. Anioł życia, który

owej szatańskiej chwili, tam na polu bitwy uciekł na zawsze, jał przybliżyć się — jakby zwabiony postacią jasną Marji. Teraz, obnosząc małego, dotykając wyczulonemi dłońmi jego ciepłe, kwitnące ciałko, doznawał tak istotnego poczucia życia, jakby żył pełnią zmysłów. Gryząca świadomość, że już nigdy nie zobaczy przepychu świata w barwach, lśnieniach i odcieniach światła, zatraciła się. Świat widzialny zniknął. Zwolna i pamięć o nim wygasła w miarę, jak nowe życie powstałe za czasów ciemności nabierało coraz obfitszej treści, przesycając myśli, a nawet ruchy czucia kształtami swoistemi.

Ból w potylicy nie pojawiał się już. Święcki całe tygodnie i miesiące nie przypominał sobie, że był kiedyś widzącym. Zmysły dotyku, węchu i słuchu tak się w nim wysubtelniły i spotężniały jakby wzięły w siebie tę energię, której dawniej pozbawiał ich wzrok. Święcki czuł bliskość przedmiotów albo osób, rozróżniał natężenie promieni słonecznych, wiedział czy dzień pochmurny czy jasny. Mnóstwo doświadczeń nie sięgających nawet świadomości składało się na tę jego wiedzę dziwną. Chwilami dosiegał szczytów, pospolicie niedostępnych dla człowieka widomego, którego zwodzi przebiegła maska twarzy ludzkiej albo kłamane spojrzenie. Uścisk czyjejś ręki mówił Święckiemu o wiele prawdziwiej, niż nawet czyjeś słowo. I nigdy prawie nie mylił się pośród spraw rozlicznych życia codziennego, dając rady i wskazówki Marji tem zdumionej. Sposób uchwycenia klamki, takt oraz siła kroku osoby wchodzącej zdradzały Święckiemu zamiary i usposobienie gościa. Marja zwykła była spoglądać wówczas na twarz małżonka, czytając z niej, jak postąpić, czy ufać nieznajomemu i w jaki sposób zachować się, zwłaszcza, że inteligencji oraz rozumowi męża przyznawała przewagę nad sobą.

Wyrafinowanie zmysłów sprawiło jednak z konieczności, że Święcki nadmiernie był przeczulony. Wszelka podnieta z zewnątrz rozszczepiała się w nim, niby płomień w pryzmacie. To też Marja ułożyła cały porządek życia domowego jako też swe zachowanie się według usposobienia męża.

W domu Święckich panowała cisza ukojna.

Sąsiedzi zapomnieliby o istnieniu ich, gdyby nie dziecko, które w atmosferze przyćmionej igrało, gaworzyło, krzyczało, nie licząc się z ustalonymi prawami domu. Mały Zdzich był nielitościwym despotą. Ojciec poddawał się jednak wrzaskliwemu tyranowi z rozkoszą niewolnika. Lubiał wsłuchiwać się w mamrotanie i mruczenie, a nawet w krzykliwe wybuchy złości synka, jakby w pierwotny — co prawda — ale nieskażony fałszem hymn życia. Gdy dziewczynka rozpowiadała malca, ojciec, słysząc klaskanie różowych nóżek o poduszkę, bawił się chwytaniem ciepłych, tłusciuchnych paluszków dziecka, wyszarpujących się gniewnie z uścisków dłoni rodzicielskiej.

Spokojne to, nie macone już teraz przez chorobę i wewnętrzne jatrzenia, życie jeło się chmurzyć atoli z innej strony.

Straszliwa wojna trwała wciąż, wlokąc ze sobą oprócz śmierci, kalectwa i chorób — nędzę powszechną. Niedostatek unikał tylko drzwi, kowanych złotem zdobytym w jawnym rozboju a głód targał rozwścieczonemi pazurami ludzi pracy.

Święccy cierpieli biedę, podobną, zwłaszcza pod koniec miesiąca, do formalnego głodu. Marja pracowała na cztery osoby, gdyż śmiesznie małą pensję inwalidy otrzymywał były podporucznik armji austryjackiej rzadko. Często nie otrzymywał jej wcale.

Tylko wytrzymałość i zawziętość Marji umiała zapełnić te niezliczone braki, które nekaly człowieka uczciwego w Polsce, czwarte go roku wielkiej wojny. Marja pracowała w biurze ośm do dziesięciu godzin dziennie, dokarmiała dziecko, dbała o to, aby mąż przede wszystkim był syty, nie zapominała nawet o służącej, zapominając tylko o sobie.

Raz nawet doszło z tego powodu między małżonkami do poważniejszego nieporozumienia. Święcki na wiosnę zaczął uczęszczać na wykłady uniwersyteckie. Z początku żona podprowadzała go pod gmach Almae Matris, później wystudjowawszy drogę, chodził już sam. Wieczorami Marja czytywała mu rozmaite pandekta i wykłady. Obawiając się, żeby mąż nie wyczerpał się skutkiem pracy umysłowej, starała się odżywiać go z własnym uszczerbkiem. On zrazu niczego nie podejrzewał, ale dnia pewnego podczas obiadu, szczególnym brzękiem rozdrażniło go dzwonienie widelca Marji po talerzu. Zdziwiony dotknął swoim widelcem talerza żony i nie namacał tam kołeta, od wczoraj z chępliwością zapowiadanego przez zabięgliwą gospodynię. Marja podała tylko jemu, sama zaś dzwoniła widelcem po talerzu, aby nie wzbudzić podejrzenia.

- Marjo! ty nie jesz...
- Nie jestem głodna.
- Dlaczego więc uderzałaś widelcem...?
- Bawiłam się...
- Mówisz nieprawdę.

Przerażona wzburzeniem męża, chwyciła go za rękę i jąta okrywać ją pocałunkami. Lecz on siedział sztywno, gładząc ją pieściwie po głowie. Płacz przemocą dławiony ścisnął mu gardło.

- Głodzisz się dla mnie...
- Ależ nie, Dziedzichu! Ja jestem taka mocna, że nie muszę znowu tyle jeść. Nie mi nie będzie. A ty...
- Ja! Ja także jestem zdrowy...
- Ale uczysz się.
- To moja nadzieja. Przrzeknij, że już nigdy tego nie zrobisz. To mnie boli, to mnie nawet upokarza, ta moja niezaradność...

Gwałtownym ruchem przysłoniła mu usta swą dłonią.

— Cicho! Już nie gniewaj się. Nigdy już tego nie zrobię.

— Mój ty promyku! — szeptał podniecony. Pamiętasz? Nawalałem cię wtedy — jasna.

— Pamiętam.

— Przycyl oczy, pocałuję...

— Ta wojna! przekłeta wojna!

— Przekłeta! I ci przekleci, co ją prowadzą, co mnie oślepił.

Święcki od czasu poznania Marji mało interesował się wojną. Zepchnął ten krwawy problemat w najskrytszy zakątek swej świadomości, a raczej sprawa ta sama pograżyła się w niepamięć jako pytanie nie do rozstrzygnięcia, a tak przecie fatalnej wagi dla osobistego losu Święckiego. Teraz jednakże, zwłaszcza od czasu, gdy zaczął wrać między ludzi, stykać się chociażby z kolegami na wykładach, pytanie owo jęło wychylać się niby topielec z dna wody, gdy ją prąd mocniejszy wzruszy.

Po co? — Dla kogo?

Zasię po tem nieporozumieniu z żoną pytanie owo nabrało ostrości dojmującej, narzucając się jako najśrotniejsze zagadnienie.

Dla jakiej sprawy, dla celu jakiego on, Święcki Zdzisław, został kaleką nieszczęsnym?

Absolutna niemożliwość odpowiedzi racjonalnej musiała z natury umysłu ludzkiego stracić myśl badającą na błędne szlaki domniemań, przeczuć i widzeń. Ślepiec bardziej skłonny był i bardziej przygotowany do zapuszczenia się w zagadkowe odmęty wiedzy pozasłownej.

Wówczas to, gdy szukającem uczuciem zanurzał się w tonie głębin, usłyszał ponownie zapomniany już zdawna szum czarnego oceanu nocy wieczystej i ponownie doznał bólu dotkliwego w tyle głowy.

Niosły się fale czarne, posepne, szumne, grożąc zagląda tej oazie życia, którą wydzwignął był z odmętu przy pomocy Marji.

Niosły się groźne, zimne i bezlitośne szumiące:

A ty? — Ktoś jest ty? — czemu jesteś ty? — wobec nas... ha! ha!

Śmieszna drobinol... ha! ha!

Jedno wspomnienie Marji zaledwo słyszalnym głosem przeciwiało się temu orkanowi zagłady, gędząc, jako on jest, on Święcki Zdzisław — jest, ponieważ komuś i na coś potrzebny, ukochany...

I Święcki czekał, wypatrywał, jak człowiek zatracony w puszczy wypatruje znaku..

Zasię w tyle głowy czuł ból, jakby o czaszkę zły szatanek tłukł małym młoteczkim, tłukł bez przerwy, aż do boleści.

Głos dziecka tylko lub obecność Marji zdolne były ukoić cierpienia nieszczęsnego. Rodzina była dlań tą skałą budowy wiecznotrwałej, którą zewsząd oblegały fale oceanu ciemności. Tylko tutaj czuł się Święcki zabezpieczony przed lodowatym tchnieniem wroga. Ilekróć jednak zapuszczał się w gąszcz ludzki, bolesne szamotanie wracało.

A życie stawało się coraz moźolniejsze, bowiem wyziewy trujące z potwornych pobjawisk podgryzały ochotę do życia, sprawiając, iż chorzały same korzenie istnienia. Zewsząd słychać było szloch, przekleństwa, albo mlaskania obrzydłe hyen ludzkości, żerujących na trupach.

Nędza coraz natarczywiej wlewała się do domu. Święcki odczuwał, iż chwilami nawet Marja wątpiła. Twarz jej schudła i płonęła niekiedy ogniem chorobliwym.

Doszło do tego, że pewnego dnia w lecie uderzył weń atak bólu głowy i to w formie tak gwałtownej, jak za czasów najgorszych.

Powód był drobny. Dziewczyna, przyszedłszy z miasta, doniosła, że mleko, niezbędne dla dziecka, zdrożało prawie podwójnie. Marja na tę wiadomość wyrwał się mimowolny okrzyk: „Co ty mówisz!”

Święcki siedział na krześle, wsłuchując się w harmonijny oddech małego. Słowa żony ugodziły w opony mózgu, jak ostrze dziurty. Wydało mu się, że to świat cały wrzasnął głosem rozpaczliwym — i Święcki stracił odrazu pamięć wszelkich stosunków rzeczy i przedmiotów. Zgroza objęła myśli. Zapomniał gdzie jest i strach ośladł jego istotą. Skostniał cały i bał się ruszyć, aby nie runąć w rozchybotaną otchłań czarnego oceanu.

Marja nie spostrzegła zrazu tego, co się stało. Wyszła do kuchni, wróciła i znowu miała przejść do drugiego pokoju, gdy naraz usłyszała szept:

— Szatanie! Szatanie!

— Co mówisz? — zapytała.

Święcki przygarbiony siedział na stolku, chwiejąc się.

— Zdzisławie!

Przypadła do niego i, ukłękawszy, objęła go ramionami.

— Ucieka, tonie...

— Kto?

— Szatan w czarnym hełmie. Dzidą uderzył w moje oczy i oślepił mnie... och! na wieki odebrał mi łaskę widzenia...

— Drżysz...

— Boję się ruszyć!
 — Jestem przy tobie. Czujesz mnie?
 — A dziecko?
 — Śpi spokojnie.
 — Jestem w domu?
 — Jesteś w domu, przy Marji. Chodź, kochanie, przeprowadzę cię do łóżka.

Wzięła go pod ramię i podprowadzała do łóżka. Szedł zgięty, macając stopami, nie pewny, czy się ziemia pod nim nie usunie.

(C. d. n.).

Perspektywa historyczna.

Wkraczamy w krainę rocznic listopadowych. Rocznice to młode i świeże. Zdawałoby się, że po dwunastu miesiącach możnaby dokładnie wymienić po nazwisku każdego sprawcę faktu, opiewanego z rocznicowej trybuny, że można policzyć wszystkich, co siedzieli za piecem, albo gorzkie łzy ronili nad wypędzonym okupantem-zbawcą...

Otóż tak wcale nie jest. A w Polsce jest wprost odwrotnie. Ci, co siedzieli za piecem i ci, co truchleli ze strachu, że fakt historyczny dobierze się im do skóry, mabierają po roku dziwnego zapachu do tego, co przed rokiem przeklinali. Zapach ten unosi ich bohatersko i tak daleko, że porywają w swoje ręce ster w święceniu rocznic — przeklętych... Jeżeli już ma być pochód, akademja, raut, msza — jednym słowem — rocznica, to niechajże bodaj nikt nie widzi sprawców faktu z przed roku, a niechaj za to świat widzi tych, których przed rokiem nie widział wcale!... Jest to pewnego rodzaju sprawiedliwość wyrównawcza... Jest solidarność narodowa, idąca aż do zaparcia się siebie samego. Że się przytem „pluje na własną brodę“ — jak niegdyś napisał Świętochowski — cóż to szkodzi? Pluć na własną brodę z przed roku?... A przytem wytwarza się „jedność narodową“...

Jak to pięknie wyglądać będzie, jeżeli np. na czele pochodu z powodu rocznicy **wypędzenia** Moskali ze Lwowa kroczyć będą ci, co darowali generałowi Ruskiemu złotą szablę za **zdobycie Lwowa**.

Albo aktywiści niosący sztandar w pochodzie narodowym z powodu wypędzenia Prusaków z Warszawy i ucieczki Beselera?

Widzimy nawet grupę c. k. urzędników, którzy wytrwali do ostatka w N. K. N. niosących wieniec z biało-czerwonemi wstęgami na cześć wypędzenia Austriaków z okupacji i z Małopolski!

W perspektywie historycznej choćby jednego roku fałszuje się historję brutalnych faktów tak dalece, że potem całe szeregi prywat-

nych docentów i profesorów nie zdołają za sto lat tych fałszów odrobić.

Ale za to mamy upragnioną jedność narodową! Ową jedność, którą naczelnik państwa przyrównał w Krakowie do nocy, czyniącej wszystkie koty narodowe szaremi.... (Wytwarzajmy noc, topmy odpowiedzialność za każdy fakt masowy, twórzmy legendy, aby nie wiedzieć i nie rozróżniać ani teraźniejszości, ani przyszłości. Mądry narodową kadź! Bądźmy jedni!

Jeżeli Kościuszkowskie święto obchodzą Targowiczanie, nie nie stoi na przeszkodzie, żeby np. rocznicę „reformy rolnej“ obchodził bankietem „Klub myśliwski“, albo datę ustawy przeciw lichwie towarowej „Stowarzyszenie Kupeców“. I jest w tem pewien figiel dziejowy, pokazujący złudzenia hasel. Skoro wysoki kler obchodzi w Polsce mszami 14 lipca: dzień zburzenia Bastylji, widać, że nieźle się przy tej rocznicy czuje. Skoro Targowiczanie z „lezką w oku“ krocą za trzeciomajowym pochodem, to pewnie doskonale się czują z powodu zwycięstwa „reform“ przed stu laty.

Dlaczegożby moskało-pruso-austrofile dzisiaj nie mieli wybornie czuć się w niepodległej Polsce?! W armji, na urzędach, przy złotodajnych interesach — oni górą. Oni mają komendy, urzędy i wygodne grzędy. Oni to pakują do kozy tych, co przed rokiem o Polskę walczyli, oni mogą dzisiaj kazać strzelać do tych, co strzelali nie tak dawno do najeźdźców, oni wnoszą w życie Polski wszystkie jady upadających potęg zaborczych. Dlaczegożby nie mieli płaszać przed arką przymierza w rocznicę zdarzeń?

Oczywiście, że **prawdziwa** histerja pracuje dalej na swoim złożonym warsztacie, **prawdziwa** logika sił społecznych nie uwzględni tych „figlarzy jedności narodowej“, **prawdziwa** perspektywa historyczna nie zatrze konturów zdarzeń. Pochody narodowe przeciw narodowi są nonsensem.

Ofiarność.

Za granicą:

a) W 1918 r. w Pradze czeskiej zebrano nad ziemi wśród wybitniejszych osobistości przeszło 1½ miliona koron.



b) Pewna właścicielka przedsiębiorstw na Górnym Śląsku, Niemkini, ofiarowała na akcję plebiscytową parę milionów marek.



c) W walce o wolność plemienia murzyńskie Afryki południowo-zachodniej sprzedawały najcenniejsze dla siebie rzeczy, aby móc zdobyć rynsztunek wojenny.

W Polsce:

a) „P. Horacy Rumbold, poseł angielski, ofiarował na kwotę „Ratujcie Dzieci“ 7,000 mk.

Około dwudziestu instytucji i osobistości polskich (Bank Ziemiański, Handlowy, Handlu i Przemysłu, Tow. Kred., Warsz. Tow. Kred. Ziem., Ubezp. od ognia, Jan Stecki, B. Herse i t. d.) ofiarowało aż dwa razy tyle“ (Gazeta Polska).

*
**

b) Ze Śląska Cieszyńskiego depeszują do Warszawy, że akcja plebiscytowa jest tam zagrożona z powodu głodu, braku kartofli i t. d.

Precz z sekwestrem, niech żyje wolny handel czyli wolność napychania kabzy — wrzeszczą rolnicy.

**
*

c) Na niedawno odbytym zjeździe ziemian w Warszawie w ilości 600 osób, złożono na wojsko polskie 6,000 mk., czyli po 10 mk. od osoby.

KARTKI Z PAMIĘTNIKA.

W rocznicę zdarzeń.

Jazda do Lublina.

Na posiedzeniu Zarządu mego stronnictwa w dniu 1 listopada 1918 r. prosiłem, aby mnie nie wybierano do P. K. L., bo czulem, że w najbliższym czasie konieczna jest akcja w Królestwie. Rozpad Austrii wprawdzie nie był nam dokładnie znany, ale 30 października w Krakowie okazał, że armja jest w rozkładzie, a armja, to była Austria, albo bodaj pozory Austrii. Pozatem były tylko nawyknięcia niewoli w społeczeństwie, a raczej w biurokracji. Wszystko zaś

było **przeciw Austrii**. Uchwały ludowców warszawskich, ostro odrzucające propozycje endeko - regencyjnego rządu, wskazywały na to, że w Królestwie coś stanowczego się gotuje. Z Królestwem zaś byliśmy na szczęście ściśle złączeni jeszcze od zimy. Dnia 4 listopada wysłałem do Warszawy p. Hipolita Słiwińskiego, aby prosić „lewicę”, by za nic w świecie nie zgodziła się na żadną jakąkolwiek kombinację Rady Regencyjnej, proponowaną „lewicy”. Aby zaś coś powiedzieć dla pozorów bez długich tłumaczeń, dano do zrozumienia p. Słiwińskiemu, że przygotowuje się „dyrektorjat”... Co miał ten „dyrektorjat” znaczyć, nikt oczywiście sobie sprawy nie zdawał, ani tego czynić nie potrzebował... Prasa podawała sobie jednak wiadomości o owym sławetnym „dyrektorjacie” przez trzy dni niezmordowanie — jak zwykle.

Podczas, gdy „opinja” zabawiała się owym „dyrektorjatem”, przysłano z Lublina automobil z wezwaniem, aby pp. Witos, Stapiński, Moraczewski i ja przybyli natychmiast, bo warszawiaczy z P. P. S., P. S. L. i S. N. już są w Lublinie i czekają na nas. Po naradzie w lokalu „Przyjaciela Ludu” mieliśmy zatem we czwórkę dnia 6 listopada wyruszyć. Z Warszawy wrócił p. Hipolit Słiwiński, który doniósł, że regenci gotowi są złożyć swoją „władzę”, tylko nie wiedzą w czyje ręce... Moraczewski rozchorował się i z auta wysiadł, pożyczając mi wspianą baranicę, którą musiałem potem wlec ze sobą aż do Warszawy. Pojechaliliśmy zatem pod wieczór z pp. Witosem i Stapińskim do Lublina. Jazda ta miała się upamiętnić tem, że dnia 7 listop. na 26 klm. od Lublina drogę rogatkową, szarpniętą przez spłoszone autem konie, omal nie zabił p. Stapińskiego. Uderzony — w pędzie auta — w czoło, zaczął obficie krwawić nosem, co go uratowało. Z rannym pospieszyliśmy więc co rychlej. Tymczasem na 8 km. od Lublina brakło nam zupełnie benzyny. Rozpoczęło się gwałtownie szukanie woza i koni. Wreszcie udało nam się na gościńcu zdobyć wóz najprymitywniejszy i wśród koców i baranic umieścić chorego p. Stapińskiego. Dopiero koło 3 godziny zajechaliśmy przed hotel „Victoria” w Lublinie. W całym mieście gorączkowe poruszenie, ogromne afisze obwieszczały program stronnictw chłopsko-robotniczych i nazwiska członków rządu „Republiki polskiej”. Najpierw trzeba się było troszczyć o chorego S. Gdy go umieszczono w hotelu, uczulem nadzwyczajne znużenie i już na schodach, gdy mnie sprzysiężeni zaczęli obiegać i pytać, czy się z ich czynem solidaryzuję, prosiłem, aby mi dano się przespać, poczem im jasno i stanowczo odpowiem. Wypiwszy w pokoju herbatę, runąłem na łóżko i przespałem się kilka godzin. Wieczorem, zbudziwszy się, doszedłem do jasnej decyzji, chociaż wiedziałem, że p. Witos będzie zupełnie innego zdania. Miałem takie położenie przed sobą: Galicja i Śląsk wolne, na południu Królestwa okupacja austriacka, którą należy odrazu usunąć, w Warszawie brak rządu i niemożność

stworzenia go pod okupacją pruską. Pozostawał Lublin albo raczej Kraków. W Lublinie dokonano ubiegłej nocy ogłoszenia republiki; pozostawało więc rozszerzyć ją, przenieść siedzibę rządu do Krakowa i zgodną siłą wypędzić Prusaków z Warszawy. Na podstawie tego rozumowania, poszedłem do zebranych w innym pokoju członków nowego rządu, aby im oświadczyć, że chcę wraz z nimi ponosić za ich czyn odpowiedzialność. Proszę jednak o natychmiastowe zajęcie gmachu gubernatorskiego w Lublinie i zebranie się rządu. Uprzątnięto naprędce kilka sal w gmachu (w kilku bocznych mieścił się jeszcze austriacki generał-gubernator, który miał opuścić Lublin tej samej nocy nad ranem) i pierwszy tymczasowy rząd Republiki Polskiej zgromadził się na narady.

Około 10-ej wieczorem zeszli się członkowie rządu i p. Witos „dla dokładnego poinformowania swojego stronnictwa“, bo wyjeżdżał już nad ranem do Krakowa... Przewodniczącym ze starszeństwa wieku był p. Wacław Sieroszewski. Poczem w głosowaniu wybrano mnie jednogłośnie prezydentem rady ministrów „Tymczasowego Rządu Republiki Ludowej Polskiej“. Przyjąłem ten obowiązek i pracowałem do 11 listop., sypiając po trzy do czterech godzin na dobę. 10 listop. dano nam znać o przyjeździe Piłsudskiego do Warszawy.

Ignacy Daszyński.

Sztuka a Socjalizm.

III.

Djonyzjos i Apollo.

Nietzsche twierdzi (*Die Geburt der Tragödie*), że w duszy greckiej dwa były pierwiastki, dwa źródła, dwa prądy — słowem dwaj bogowie, od których pochodzi tragedia: — Djonyzjos i Apollo.

Djonyzjos — postać ludzka na nogach jeszcze zwierzęcych — to żywioł przedludzki: przyroda w popędach swych i dążeniach nieujarzmiona, dzika, rządzona instynktami nieświadomionymi; to burze zmysłów i wulkaniczne wybuchy namiętności, pochodzące z ciemnych głębi oceanu pierwotnego, z przestrzeni wichrnorodnych; nad mrocznemi, jedynie przez błyskawice przecinanemi, falami żywiołów, unosi się fatum — ślepe, niepojęte i zapewne samo nie pojmujące.

Gdy oko świadomości po raz pierwszy otworzyło się na to, wnet cofało się w siebie, w niemym przerażeniu. Życie — to konieczność zjadania i być zjadany, to chaos rozfalowany, bezsens jakiś potworny, czy nieporozumienie tak zasadnicze, kiedyś tak głęboko do podstaw sięgające, że uderzone tym, jak falą bólu nieukoźnego, oko świadomości może tylko corychlej zamknąć się w sobie, przybrawszy po-

stawę negacji, najbardziej zasadniczej. Wszelka chęć życia, wszelkie parcie żywiołowe, sama wola do życia jest złem — oto wniosek, do którego budząca się świadomość dojść musi. Tak powstaje buddyzm, ta negacja najbardziej konsekwentna, najściślej przeprowadzona.

Gdy błyskająca nad żywiołami świadomość po raz pierwszy spojrzała dokoła siebie, innemi słowy — gdy człowiek po raz pierwszy rzucił okiem po sobie, gdy zobaczył swą sprośną, koźłą, zwierzęcą postać od pasa, gdy zagrały mu w piersiach wichry wiosennych mamiętności, gdy stwierdził, że kły jego wyszczerzają się na wroga, jakby ścierwo jego szarpać chciały — cofnął się przerażony i powiedział — nie.

To znaczy, — gdy świadomość spojrzy w Djonyzjosa, gdy bezpośrednio usiłuje go zrozumieć, może powstać tylko odruch negacji — buddyzm.

Ale w duszy helleńskiej od zarania jej bytu inny jeszcze bóg działał. — Kiedy zrodził się Apollo? — Któż wie — może w tej samej chwili, gdy po raz pierwszy Djonyzjos powiedział — jestem.

Apollo — to jasne słońce, ze mgieł porannych wstające nad światem; Apollo — to ład, porządek i harmonia; Apollo — to linje, wyraźnie kształt ograniczające — to całość skończona, akord w słońcu brzmiający; a także Apollo — to piękno.

Djonyzjos i Apollo razem dali tragedję Grecji, obaj są nierozłączni, bez nich niema sztuki wogóle.

„Z owej podwaliny wszelkiego istnienia — mówi Nietzsche — a djonyzjijskiego podłoża świata, może się... tylko tyle uświadomić jednostce człowieczej, ile owa przejaśniająca moc apollinińska znowu przezwyciężyć może, tak, że oba te popędy artystyczne zmuszone są rozwijać swe siły w ścisłej proporcji wzajemnej, wedle prawa wiecznej sprawiedliwości. Gdzie moce djonyzjijskie podnoszą się gwałtownie, jak my to widzimy, tam musiał zstąpić już do nas także Apollo, chmurą spowity“¹⁾.

Sztuka, a przedewszystkiem tragedja, była dla Greka czymś bez porównania ważniejszym niż może być dla nas dzisiaj.

„Helleńczyk, który przenikliwym wzrokiem spojrzał w głąb strasznego wiru zniszczenia tak zwanych dziejów świata, jak i w głąb okrucieństwa przyrody, jest w niebezpieczeństwie, że zacznie tęsknić do buddyjskiego zaprzeczenia woli. Ocala go sztuka, a przez sztukę ocala go sobie życie“²⁾.

1) Fr. Nietzsche — „Narodziny tragedji“ — Przekł. L. Staffa. Warszawa 1907. § 25.—Nietzsche ma tu na myśli Niemcy mu współczesne, w których Djonyzjos wynurzył się już, a Apollo nadejść wnet powinien. Między innemi chodzi tu o Wagnera i jego sztukę.

2) Op. cit. — § 7.

Widzimy z tego, że sztuka przynosiła Helleńczykowi zbawienie. Boć to, o czym tu mowa, nie jest niczym, jeno właśnie zbawieniem. A oto jeszcze słów parę o rodzaju tego zbawienia:

„...w najwyższym niebezpieczeństwie woli, zbliża się, jako zbawcza, świadoma leków czarodziejka **sztuka**; ona jedynie zdola owe wstrętne myśli o okropności lub niedorzeczności istnienia nagiąć do wyobrażeń, z którymi żyć można: są niemi **wzniosłość**, jako artystyczne okielznanie okropności i **konieczność**, jako artystyczne wyładowanie wstrętu do niedorzeczności“³⁾.

Sztuka jest tu wyraźnie drogą zbawienia, a to, co cierpiąca dusza ludzka na drodze tej ku pocieszeniu swemu znajduje — to „wzniosłość“ i „konieczność“. Musimy przyznać, że zimne to, smutne i w najlepszym razie doprowadzające do stoicyzmu. Takie są szczyty, na które świat starożytny mógł się zdobyć. Tak czy inaczej było to pokonanie zła: — dobry i stoicyzm, gdy na postawę czynną zdobyć się jeszcze nie można.

Nie o to nam jednak w tej chwili chodzi, jeno o zwrócenie uwagi na fakt, że sztuka helleńska w pełni swego działania była czyniś znacznie potężniejszym, głębszym i obszerniejszym niż to, co dzisiaj mianem tym ujmujemy. Tak ujętej sztuki w żaden sposób nie da się wyczerpać pojęciem piękna, które conajwyżej do apollinijskiego w niej pierwiastku odnosić się może: — żywioł Djonyzyjski nie może być piękny — on jest potężny, straszny, groźny, porywający, zachwycający, ostatecznie olśniewający i upojny, ale w żadnym razie nie piękny.

Innemi słowy w sztuce coś jest, czego piękno nie obejmuje. To coś wyraża się wprawdzie w formach apollinijskich i dopiero wówczas do dziedziny sztuki wstępuje, ale na pustynię sztucznego kwiecia i martwych drogocenności zajdzie ten, kto na samym pięknie sztukę zakładać zechee. Sztuka taka nikomu już zbawienia nie przyniesie, nic nie wyratuje, nikogo dla życia nie ocali.

Co jednak w późniejszym rozwoju dziejów ludzkich stało się z Djonyzosem? — Czy żywiołowość tajemnicza zgasła już ostatecznie?

W rozwoju sztuki greckiej od Eschylosa przez Sofoklesa do Eurypidesa i epigonów zachodzi stopniowe zapadanie się pod ziemię Djonizosa; Apollo panuje coraz niepodzielniej. Z tajemnych niepoznawalnych głębi, ze skłębienia się żywiołów mocy, sztuka wyłania się coraz bardziej na powierzchnię życia. Jest to droga od bosko-tytanicznej tragedji, do ludzkiej i ostatecznie tylko ludzkiej, komedji. Stopniowo wszystko wyjaśnia się, tajemnica jakby na zawsze ustąpiła.

Człowiek nie może jednak bezkarnie zaprzeczyć się głębi: proste, jasne, wyraźne i nie niedomówionego nie pozostawiające linje apol-

³⁾ Op. cit. — § 7.

lińskie, tylko pozornie są prawdą, w rzeczywistości zaś kryje się pod niemi kłamstwo — kłamstwo uproszczenia, kłamstwo jasnego określenia tam, gdzie największe potęgi określające objąć całości nie mogą. To kłamstwo wynosi człowieka na powierzchnię i każe mu samooszukiwać zachowywać się tak, jakby głębie zgola nie istniały.

Jakem powiedział, w sztuce panuje wówczas Apollo; panuje ład i piękno, a na miejscu mytu jawi się aktualność. Człowiek nie szuka już zbawienia w sztuce, jeno pragnie od niej rozrywki; a cóż jest lepszym tematem do rozrywki, niż aktualność? Czy może być coś bardziej podniecającego, niż oglądanie na scenie, niekiedy w ramach i stylu jakoby bosko-hieratycznym — swych społecznych? Życie nasze wraz ze wszystkimi jego drobiazgami, jakby znaczenia jakiegoś nabiera; mamy prawo być tym, czym jesteśmy — istotami lichemi — i wstydzić się tego nie potrzebujemy. Wszak tacy sami chodzą pomiędzy bogami na scenie, gdzie trwają jeszcze resztki zapachów z kosmicznych ofiar djonizyjskich.

Miejsce tragizmu, który teraz działa tylko przygnębiająco, zajmuje dowcip. Djonizjos zapadł w podziemie, a na jego miejsce zjawił się Satyr uszczypliwy, kostyczny, nikogo nie oszczędzający. Śmiech gryzący — oto czym pociesza się teraz człowiek.

Śmiech dla widzów mniej wybredny, dla nieco subtelniejszych zaś — siedzący poza sceną i wszystkim kierujący ostry jak brzytew — rozum Sokratyczny.

Przerozumować na miłe lub wyśmiać świat, w którym się żyje — oto jedyna postawa, na którą teraz świadoma część społeczeństwa ateńskiego zdobyć się może.

Jednocześnie, równolegle z temi zdarzeniami na scenie, zachodziły głębokie przeobrażenia w samym społeczeństwie ateńskim. Scena, sztuka wogóle była przecie tylko zewnętrznym przejawem tego, co w trzewiach społecznych się odbywało. A zaszły tam tymczasem zmiany głębokie: społeczeństwo zróżnicowało się, Ateny stały się stolicą Hellady, a Ateńczyk obywatelem uprzywilejowanym, na utrzymanie którego pracowały olbrzymie rzesze niewolników i metoików liczne gromady. Ateńczyk uważał się teraz za wykwit życia, za coś oderwanego od żywiołowego jego podłoża, za istotę, która może żyć samym rozumowaniem, samym kultem czystości linii apollinijskiej, lub samym dowcipkowaniem.

Pomiędzy sztuką, — powiedzmy szerzej — pomiędzy kulturą i życiem powstał rozdział, który musiał się skończyć śmiercią tej fali kulturalnej.

Satyr tymczasem, spadając coraz niżej, zawleczony został do Rzymu i tam stał się Bachusem grubym i sprośnym; a lira apollinińska znalazła się w rękach układnych służalców cesarzańskich.

Lecz — powraca pytanie — co stało się z Djonizjosem. Czy żywiołowe praźródło bytu, prawda, tkwiąca w nieprzejranej toni

tego czegoś żywego nadewszystko, co nam istotom małym wydaje się chaosem — czy to zmarło? — Jakżeż zamrzeć mogło, skoro życie jest?

W podziemia zapadł się Djonizjos i było tak, jakoby nie istniał. Półtora lat przed tym momentem, który zgodziliśmy się nazwać początkiem ery chrześcijańskiej. Rzym krzyżuje jednym wyrokiem 30.000 zbuntowanych niewolników; wyroki potym powtarzają się i niewolnicy nieustannie buntują się; krzyż i śmierć na krzyżu staje się symbolem niewolnictwa, symbolem tego czegoś pogardzanego i podeptanego, na czym kwiaty kultury pomóc wznosić się mają.

I patrz...

Na krzyżu zmartwychwstaje to, co przedtem Djonizjosem się nazywało. Lecz któż poznać może? Korona cierniowa, męka w opuszczeniu, ból jako żywioł? Czy to ten sam?

Ten sam niewątpliwie. On — praźródło życia, ocean wszechbytu — nigdy nieobjęty i nigdy niewyrażalny.

I wnet z pierwiastkiem apollinijskim się sprzęga, aby nową — o jak bardzo nową — ujawnić się sztuką. Powstaje legenda ewangeliczna i przypowieść ewangeliczna.

Legenda o Zbawicielu ukrzyżowanym i Jego nauki moralne, w przypowieściach wyrażone — to nie tematy dla sztuki, jeno to właśnie była sztuka nowa. Dla zbawienia świata taka właśnie w czasie owym sztuka była potrzebna.

A nie myśl, że stosunek widza i słuchacza do tej sztuki nowej był inny, niż Greka eschylosowego do uscenizowanej legendy Prometeusza. Prometeusz dla Greka był również prawdziwy jak Chrystus dla swego wyznawcy i dzięki temu właśnie zdolny był przynosić zbawienie.

Gdy Prometeusz stał się tylko tematem poetyckim, tragedia nikogo już zbawić nie mogła.

Gdzież dzisiaj szukać nam należy tego, co kiedyś nazywało się Djonizjosem, a potym Chrystus? Czy dzisiaj ma ono imię? .

Jakżeż więc chcecie, aby wielka sztuka była? Mogą istnieć tylko dowcipne Arystofanesy i sokratyce, przebiegle rozmyślający.

Jan Hempel.

Różności.

Inteligencja zawodowa i Śląsk Cieszyński. Nie tylko w stolicy, ale i w całym kraju jest bardzo dużo inteligencji zawodowej pozbawionej pracy lubt eż wprzęgniętej do zajęć zupełnie jej obcych.

W różnych instytucjach państwowych i komunalnych urzędy sprawują inżynierzy-mechanicy, chemicy, technicy wszelakich rodzajów i t. p.

Wobec powszechnego zastoju życia przemysłowego, ludzie ci chwytali się zajęć urzędniczych, bo takie właśnie posady wakowały.

Jednak technicy różnych kategorii zniewoleni warunkami do wysiadania krzeseł, czują się nie swojo. Często się to nawet odbija na samej pracy urzędniczej przez nich wykonywanej, co jest zupełnie naturalne.

Otóż we własnym interesie polskiej inteligencji zawodowej jest zakrzędnąć się energicznie około akcji plebiscytowej i dać tę pomoc, jakiej należy od czynu społecznego oczekiwać.

Śląsk Cieszyński, ta kraina węgla i niezwykle rozwiniętego życia przemysłowego, będzie podstawą rozwoju przemysłu w innych dzielnicach Polski.

Posiadając Cieszyńskie, jesteśmy w możności nie tylko uruchomić, ale i zintensyfikować nasze życie przemysłowe.

Czyli możemy dać pracę nie tylko licznej rzeszy robotników, ale i zatrudnić inteligencję zawodową.

Na Śląsku Cieszyńskim przemysł nie jest zrujnowany i fabryki nie są zniszczone.

Są tam huty, odlewnie żelaza, walcownie rur, fabryki maszyn dla elektrowni, cementowni, maszyn tkackich, parowych. Jest rozwinięty przemysł tkacki (skoncentrowany w okolicach Bielska i Frydka oraz w tychże miastach).

Liczne są cegielnie i fabryki terrakoty oraz rur i aparatów dla przemysłu chemicznego.

Również są przedsiębiorstwa tartakowe, fabryki mebli giętych, eksportujące poza granice Austrii.

Rozwinięty jest przemysł chemiczny. Wyrabiają kwas siarczany, sól Glauberską, kwas solny, sodę, chlorek wapnia, nawozy sztuczne. Przy destylacji węgla otrzymują cały szereg organicznych produktów, destylacja buku daje między innymi kwasy octowe, chloroform, aceton i t. p.

Bogumin ma fabrykę sacharyny.

Poza tym na Śląsku Cieszyńskim są rafinerje ropy naftowej, która przy destylacji daje benzynę, naftę, parafinę, asfalt i t. p. Są jeszcze fabryki świece, mydła, zapalek, papy na dachy i t. p.

Rozwija się jeszcze, acz w mniejszym zakresie, przemysł skórzany, papierowy, budowlany, poligraficzny i t. p.

Tak wielkie uprzemysłowienie kraju wpłynęło również na rozwój stosunków handlowych. Przed wojną Śląsk Cieszyński eksportował na Balkany, do Rosji, a nawet do Chin, Japonii, Egiptu, Algieru, Turcji.

Tak wysokie uprzemysłowienie Śląska Cieszyńskiego było możliwe przy współpracy licznej rzeszy inteligencji zawodowej.

Ale dotychczas te stanowiska były zajmowane przez Niemców, a przeważnie Czechów. To też czeska inteligencja, która wspomaga wszelkimi sposobami akcję plebiscytową, czyni to w dobrze zrozumiałym interesie własnym. Trzeba jednak, by inteligencja polska przebudziła się z dotychczasowej ośpałości.

Ci wszyscy, co są pozbawieni pracy, jak również ci, co są zawodowo przygotowani do pracy przemysłowej, a teraz z konieczności „siedzą na urzędach“, winni się jaknajszybciej porozumieć — i zakrzęknąć okolo akcji plebiscytowej.

Nie wolno czekać, aż się „plebiscyt sam zrobi“, bo Śląsk Cieszyński może być zagrożony. Żaden skrawek ziemi cieszyńskiej, który się nam słuszenie należy, nie powinien przypaść Czechom.

Leży to we własnym interesie inteligencji zawodowo pracującej.

A więc — do czynu!

Sprawozdania.

Z Burzliwej Doby. Mowy sejmowe posła Ignacego Daszyńskiego, wygłoszone w czasie od października 1918 do sierpnia 1919 r. wedle protokółów stenograficznych. Lwów. Nakładem Ludowego Towarzystwa Wydawniczego, 1920, str. 100.

Tak bardzo i pieczołowicie kultywowana ongi w Polsce mowa publiczna, ta umiejętność i sztuka zarazem, z chwilą upadku państwa polskiego przestała być czynnikiem życia społecznego.

Niewola, która skrepiowała polskie życie polityczne, nie była gruntem, sprzyjającym dla uprawiania mowy publicznej bądź publicznych rozpraw.

A przecież Polska ongi słynęła ze swego krasomówna!

To też przechowała się ona tam, gdzie swobód politycznych było trochę więcej: w Galicji.

Na gruncie Galicji rozwinał swój talent największy społeczny mówca polski — Ignacy Daszyński, był poseł do parlamentu wiedeńskiego a obecnie poseł na Sejm polski.

Daszyński jest przedewszystkiem — mówcą. Gdy mówi czuje się w swoim żywiole.

Aczkolwiek tego mowy sejmowe od października 1918 r. zebrane w osobnej książce, posiadają już dziś wartość historyczną dzięki politycznym walorom, to jednak przedewszystkiem „biorą“ swą formę. Nawet drukowane.

Posiadała one swoistą, indywidualną „barwę“, którą się całkowicie uchwycą jednak wtedy, gdy się słyszy mówcę.

G. J. Holyoake w swym podręczniku (Public speaking and Debate) pisze, że włoscy mówcy przypominają muzykę, od nut miękkich, cichych przechodzą do tempa burzy, charakteryzuje ich ponadto pewien ferwor intelektualny.

Sadzę, że ta charakterystyka najbardziej się nadaje i dla Daszyńskiego, jako mówcy. Posiada on przytem pewną kurtuazję oracji,

którą ma np. Albert Thomas. Jest to ważna zaleta mówcy, zaleta umiająca.

Bezsprzecznie: Daszyński jest wielkim współczesnym mówcą polskim. Przyznają mu to nawet jego polityczni przeciwnicy.

Czytając jego mowy, spostrzegamy jego dyalektykę, którą tak umiejętnie włada, podziwiamy ogarnięcia przedmiotu, boć mowy Daszyńskiego to nie tylko retoryka, ale i fakty, dowody. Mowy jego nie tylko porywają, ale i przekonywują.

Atoli mowy jego drukowane nie dają nam wyobrażenia o Daszyńskim — mówcy.

Bo tak jak każdego wielkiego mówcę i Daszyńskiego trzeba słyszeć.

Trzeba słyszeć wszystkie „colores“, któremi działa potęgą słowa tego mistrza retoryki publicznej.

Walczyć o wolność słowa.

Starajmyż się rozwijać sztukę słowa, eloquencję, bo ma ona wielkie znaczenie w życiu publicznym. A mówców Polska liczy tak niewiele.

t.

Nadesłane do redakcji.

Dr. Antoni Kuczewski. „O niezbędności wprowadzenia w Państwie Polskiem ubezpieczenia społecznego z punktu widzenia społecznej walki z gruźlicą“. Warszawa 1919, str. 24.

Odpowiedzi Redakcji

Dr. med. A. Kuczewski (Zakopane). Sprawa istotnie jest bardzo ważna i aktualna. „Trybuna“ ją przy najbliższej sposobności poruszy.

Trość Nr. 4: Ku reakcji. — Stan bezrobocia w Polsce (dr. M. B.). — Listy włoskie (A. L.). — Z drogi II (Tadeusz Hołówko). — Siostra Maria (Zygmunt Kisielewski). — Perspektywa historyczna. — Ofiarność. — W rocznicę zdarzeń (Ignacy Daszyński). — Sztuka a socjalizm: Djonyzjos i Apollo (Jan Hempel). — Różności. — Sprawozdania. — Nadesłane do redakcji. — Odpowiedzi redakcji.

Administracja otwarta codziennie od g. 10—3 popoł. Redakcja od g. 11—1 pp.

Wydawca: Spółka wydawnicza „Trybuna“.

Red. odpow. Wład. Wolert.

Odbito w Drukarni „ROBOTNIKA“.